GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1939 R.

Nr. 2 ROK IX

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 2

1939 R.

15 — I

WITOLD PTASZYŃSKI

MOŻLIWOŚCI FINANSOWANIA

Jedynymi środkami finansowymi, poza pożyczką zagraniczną, są możliwości produkcyjne kraju i one tylko, nie zaś jakakolwiek doktryna kredytowa, wyznaczają możliwości finansowania inwestycyj.

W zestawieniu z sumami kredytów figurującemi w bilansach polskich instytucyj finansowych — kwota dwu miliardów zł, jaką Rząd wg projektu ustawy, może uzyskać w drodze operacyj kredytowych dla pokrycia części kosztów 3-letniego planu inwestycyjnego — jest niewątpliwie nader wysoka. A jednak ten porównawczy aspekt rozmiarów finansowania nie był na ogół wysuwany jako argument za zwężeniem planu (ogółem ok. 3,5 mlrda zł wg szacunku p. Z. Szemplińskiego w Nr 1 „Polski Gospodarczej"), podobnie jak zrezygnowano na ogół z innych liczbowych porównań — w treści swej bliższych niż nasze i nie mniej „jaskrawych". Użyliśmy cudzysłowu, gdyż porównania te nie są naprawdę jaskrawe w chwili obecnej; może byłyby przed dwoma laty, może jeszcze przed rokiem. Dziś rozległy się nawet głosy, że nowy plan inwestycyjny jest zbyt skromny, a przecież rozszerzenie planu oznaczałoby w konsekwencji rozszerzenie uprawnień Rządu do operacji kredytowych na ponad 2 miliardy zł.

W całości tych konstatacji skłonni bylibyśmy widzieć pomyślny przejaw zmian *psychicznych*, jakie pod wpływem obserwacji zarówno naszej jak i obcej polityki gospodarczej dokonywują się w myśleniu o sprawach inwestycyjnych. Krzepnie, jakże słabe dotąd, poczucie własnych możliwości finansowych, poparte nieodzownemi koniecznościami ich wykorzystania. Zamiast operowania w sposób ekonomicznie mało pogłębiony porównaniami — padły publicznie pytania co do konkretnych sposobów uzyskania dwu miliardów złotych.

Poza tem jednak, na odcinku metod finansowych postęp naszego myślenia i właściwe urobienie naszych reakcji psychicznych jest jeszcze niewystarczające. Niemniej już jesienne wydarzenia na rynku pieniężnym wniosły nutę niepewności w psychikę nadal licznych w Polsce zwolenników passywizmu w polityce pieniężnej i finansowej.

Upoważnienie do dwu miliardowych operacyj kredytowych narzuca w konsekwencji albo konieczność wskazania drogi ich poprowadzenia albo rezygnację z planowanych zamierzeń inwestycyjnych, skoncentrowanych zresztą głównie w obiektach gospodarczych o doniosłości wojskowej. Ponieważ za ewentualnością drugą nie ośmieli się zapewne wypowiedzieć żaden passywista finansowy — przeto pozostaje tylko zajęcie stanowiska aktywnego. Ten brak alternatywy wyboru dla jednostek, które w wyrazach „aktywna polityka pieniężno-finansowa" słyszą pięknodźwięk inflacji wraz z kompleksem jej nieuchronnych skutków — stanowi realny, choć zapewne nieplanowany, sukces naszej gospodarczej polityki pokryzysowej.

Rozwój czynników dominujących już obecnie w polskiej gospodarce narodowej będzie wymagał coraz

bardziej intensywnie, niż dotąd, porzucenia stanowiska passywnego. Trzeba będzie zdobyć dwa i więcej miliardów zł bez stosowania inflacji!

Powstaje kwestia dróg finansowania.

W rozważaniach na ten temat należy dla uniknięcia niejasności rozstrzygnąć naprzód stosunek polityki wewnętrzno-finansowej do obrotów gospodarczych z zagranicą. Skoro przyjęliśmy zasadę kontroli tych obrotów i zdecydowaliśmy się, że nasze zapasy złota nie mogą obniżyć się poniżej określonego minimum koniecznego na wypadek wojny — wówczas zdecydować się musimy na wykonanie niektórych inwestycyj po cenach wyższych (wskutek zwiększonej deficytowości eksportu itp.) lub na odstąpienie od wykonania — o ile realizacja tych inwestycji byłaby niemożliwa skądinąd bez naruszenia dwu pierwszych zasad. Metoda finansowania nie wpływa tu na wynik.

Metoda finansowania nie jest również czynnikiem najważniejszym z punktu widzenia gospodarki krajowej, jakkolwiek różne metody mogą wywoływać różny stopień przejściowych zaburzeń na rynku towarowym i pieniężnym. Istotne w każdym wypadku są natomiast gospodarcze możliwości finansowania jako takiego czyli po prostu możliwości inwestowania. Możliwości te znajdują swój wyraz w kształtowaniu się stosunków wzajemnych, obiektywnie istniejących lub mogących istnieć — między krzywemi podaży pracy, kapitałów i dóbr naturalnych z jednej strony, oraz krzywemi popytu na towary, przeznaczone dla definitywnej (a nie reprodukcyjnej) konsumcji pracowników i kapitalistów — z drugiej strony.

Podaż środków produkcyjnych rośnie bądź na skutek ilościowego ich zwiększenia i ulepszeń w technice produkcji, bądź na skutek zmniejszenia popytu na dobra konsumcyjne, dotychczas produkowane i spożywane. Idealnie funkcjonująca aparatura gospodarcza powinnaby powstające w ten sposób możliwości włączać *całkowicie* w procesy nowej produkcji. Włączenie to następuje również i poprzez działanie obecnej aparatury kapitalistycznej, jednakże jest ono nader powolne, poprzedzane i kończone skurczami kryzysowymi, a pozostawione jedynie działaniu automatyzmu, — nie prowadzi z reguły do pełnego wykorzystania zdolności wytwórczej kraju. Ten ostatni fakt stwierdzają zarówno rozważania teoretyczne (Keynes), jak i skrupulatne obserwacje statystyczne (Moulton w U. S. A.). Niezależnie zatem od oddziaływania popytu artykułów konsumcyjnych na krzywe podaży środków produkcyjnych, — polityka gospodarcza może ponadto wykorzystać dla zwiększenia rozmiarów inwestycyj także każdorazowo istniejące, przynajmniej w poszczególnych gałęziach, możliwości produkcyjne. Finansowanie zaś inwestycyj nie zmierza do niczego innego, jak bądź do bezzwłocznego stworzenia zwiększonych możliwości produkcyjnych (podwyższenie czasu pracy, wykorzystanie maszyn nie pracujących pełną dobę, wynalazki, obniżka oprocentowania itp.), bądź najczęściej — do przestawienia produkcji z odcinka pracującego na konsumpcję na odcinek pracujący na reprodukcję (dobra inwestycyjne). Ten ostatni wypadek zachodzi zwłaszcza wówczas, gdy zwiększane oszczędności zwalniając niejako część aparatu wytwórczego na odcinku konsumcyjnym, pozwalają wykorzystać jego produkcję na rzecz konsumpcji nowych pracowników odcinka inwestycyjnego, albo pozwalają na przestawienie produkcji zakładów, jeśli jest to technicznie osiągalne, z dziedziny konsumcyjnej na inwestycyjną.

Przy przesuwaniu krzywych podaży środków wytwórczych i popytu wytworów konsumcyjnych w kierunkach wyżej zasygnalizowanych uzyskujemy ekonomicznie (wartościowo) ex nihilo przyrost lub przestawienie zdolności wytwórczej, umożliwiające powstanie inwestycyj w rozmiarach większych, niż uprzednio. Nie istnieją w takich okolicznościach żadne powody do zwyżki cen — zjawiska inflacyjnego. Jest to punkt zasadniczy problemu finansowania, gdyż z jednej strony zwyżkę cen uznajemy za zjawisko niepożądane, niezależnie od tego czy będzie kwalifikowana jako inflacyjna czy jako tzw. naturalna — z drugiej zaś strony zwyżka cen jest właśnie obiektywnie najłatwiej stwierdzalnym wskaźnikiem ekonomicznym, który mówi nam o położeniu wspomnianych krzywych. Wprawdzie wskaźnik ten jako element aparatury gospodarczej podlega jej wpływom (kartelizacja, spekulacja surowcowa itp.), niezależnie od możliwego położenia krzywych podaży czynników wytwórczych i popytu artykułów konsumcyjnych, ale łatwo jest wpływy te skonstatować i ewent. je regulować. W każdym jednak wypadku polityka gospodarcza oddziaływując na wymienione krzywe oraz na aparaturę gospodarczą powinna i może kierować się, z punktu widzenia finansowania inwestycyj — wskaźnikiem cen.

Ewentualny ruch zwyżkowy cen (nie wynikający z aparatury) jest miarodajnym stwierdzeniem, że plan inwestycyjny jest niewspółmiernie wielki w porównaniu z możliwościami gospodarczemi kraju — i a contrario, jak długo, ceny pozostają niezmienione, istnieje pewność, że polityka gospodarcza wpływa należycie na wytwarzanie możliwości inwestycyjnych, lub że kraj możliwości te posiada skądinąd (niewykorzystana marża produkcyjna).

Dlatego sądzimy, że polityka ściśle dotycząca rynku kredytowego nie posiada — poza stopą procentową i technicznym skoordynowaniem obrotu siłą nabywczą — żadnego ściśle ekonomicznego znaczenia dla finansowania inwestycyj. Najbardziej udoskonalone metody Dra Schachta nie dałyby Polsce w ciągu paru lat tych możliwości finansowania inwestycyj, jakie uzyskaliśmy bezzwłocznie z chwilą objęcia zakładów przemysłowych Śląska Zaolzańskiego.

Gdyby kilka poprzednich zdań czytały jednostki o nastawieniu passywnym w polityce pieniężno-finansowej — poglądy autora zyskałyby zapewne aprobatę z dodatkiem, że mówi o rzeczach znanych w zbędnie zmienionej formie. Istotnie — autor nie wierzy w „tajemniczą moc przysparzania bogactw krajowi" przez instytucje kredytowe — ale nie uważa za wskazane, aby polityka finansowa miała być ograniczona zasadami, których wymaga lub jakoby wymaga bierne stanowisko owych instytucyj. Jak wskazaliśmy wyżej istotne jest wytworzenie zdolności produkcyjnej lub przesunięć w rozdziale tej zdolności między dobrami konsumcyjnymi i inwestycyjnymi, a efekt zarządzeń do tego zmierzających — jakikolwiek przymiotnik kwalifikowałby je — wyraża się

brakiem wzrostu cen mimo prowadzenia inwestycyj. To samo kryterium właściwe jest dla działań na odcinku kredytowym, w ogóle dla całej *techniki* finansowania — zarówno w najbardziej tradycyjnym jak i rewolucyjnym ujęciu.

Jakie stąd płyną wnioski bankructwa w sprawie zdobycia 2 miliardów zł na nowy plan inwestycyjny? Przede wszystkim ten, że bynajmniej nie można a priori powiedzieć, czy plan ów przeprowadzimy bez elementów inflacyjnych w postaci zwyżki cen, czy dzięki zwyżce cen. Odpowiedź zależy bynajmniej nie od postawienia przez Bank Polski do dyspozycji rynku kredytowego 500 mln. zł więcej niż dotychczas, ale od posiadania w kraju dostatecznych rezerw produkcyjnych lub od podjęcia zarządzeń, które umożliwią zastosowanie w dziedzinie inwestycyjnej sił wytwórczych, obecnie zatrudnionych w dziedzinie konsumcyjnej.

Informacje statystyczne, choć z natury tylko orientacyjne, pozwalają na przypuszczenie, że przynajmniej w najbliższej przyszłości Polska dysponować może niewykorzystaną rezerwą produkcyjną oraz możliwościami przesuwania sił wytwórczych w kierunku inwestycyjnym.

Przede wszystkim, niezależnie od stopnia wykorzystania dotychczasowego potencjału produkcji w Polsce, Zaolzie przynosi zwiększenie tego potencjału o ok. 50% w hutnictwie, o ok. 50% w koksownictwie, o ok. 20% w wydobyciu węgla oraz o poważne odsetki w poszczególnych wąskich działach przemysłu metalurgicznego. Trudności eksportowe i zapotrzebowanie importowe okręgu zaolzańskiego są czynnikiem doniosłym w zagadnieniach dnia, jednak z punktu widzenia długofalowego dozbrojenia gospodarczego kraju i odpowiedniej polityki nie umniejszają możliwości finansowania inwestycyj, jakie zyskaliśmy przez przyłączenie Zaolzia. Obecny nadmiar węgla kamiennego — niezależnie od możliwości wymiany na import inwestycyjny — może po latach piętnastu przekształcić się w niedobór [1]). Co zaś tyczy się konieczności importowania, to istniałyby one również przy rozbudowie hut na którymkolwiek z obszarów Rzeczypospolitej, gdyż związane są ze stanem techniki wytwarzania wyrobów hutniczych, oraz ze stanem naszego zaopatrzenia surowcowego.

Śląsk Zaolzański dostarczył możliwości finansowania dających się przynajmniej w części uchwycić cyfrowo, dzięki temu, że stanowią one zwiększenie dotychczasowego potencjału wytwórczego Polski. Rachunek podobny jest jednak niemożliwy dla reszty kraju, informacji statystycznych odnoszących się do stopnia wykorzystania zdolności produkcyjnej kraju nie posiadamy. Choć brak analogicznych informacji jest powszechny również i w statystykach zagranicznych, to jednak ze względu na zadania, jakie czekają gospodarstwo polskie, jest rzeczą wagi pierwszorzędnej przeprowadzenie inwentaryzacji choćby ogólnej naszych możliwości produkcyjnych, stanu ich wykorzystania. Dopiero dysponując odpowiednim materiałem statystycznym można by w sposób bardzo zresztą przybliżony wnioskować, jaki kierunek produkcji i w jakim stopniu może być sfinansowany bez zwyżki cen. W obecnym stanie materiałów statystycznych — jedynie efektywny zwyżkowy ruch cen [2]) (po uwzględnieniu wpływu aparatury gospodarczej) stwierdza bliski koniec możliwości finansowania; ponadto pewną orientację dają także inne wskaźniki.

Ruch cen przemysłowych w Polsce wskazuje na stałą od dwu lat tendencję zniżkową przechodząc z ca 62 na początku 1937 r. do ca 57 w końcu 1938, przy czem należy podkreślić, że zniżka nie obejmuje jedynie surowców i półfabrykatów skartelizowanych, oraz że dotyczy w małym stopniu wyrobów gotowych. Wyraźny natomiast spadek cen surowców i półfabrykatów, zarówno uzależnionych od zagranicy, jak i innych, posiada duże znaczenie dla możliwości finansowania, wskazuje, że możliwości te istnieją lub w każdym razie, że nie mamy podstaw do przypuszczenia, iż je wyczerpaliśmy. Przemysły skartelizowane posiadają wprawdzie znaczny udział w rozbudowie naszych inwestycyj — jednakże ceny ich wyrobów nie stoją w żadnym stosunku z możliwościami produkcyjnemi, jakiemi przemysły te dysponują. Że ich możliwości produkcyjne są wykorzystane tylko w części, lub że drogą niewielkich nakładów udało by się zwiększyć je poważnie — tego zapewne można nie kwestionować; zresztą samo przyłączenie Zaolzia stanowiło na niektórych doniosłych odcinkach znaczne uzupełnienie dotychczasowych możliwości produkcyjnych. Kształtowanie się produkcji przemysłowej w roku ubiegłym umacnia wnioski uzyskane z kształtowania się cen. W ciągu 10 pierwszych miesięcy 1938 roku produkcja dóbr wytwórczych wynosiła średnio 139 wobec 136 na końcu 1937, dóbr zaś spożycia odpowiednio 109 i 104. Mimo wydatkowania średnio 800 do 1000 mln. zł rocznie na inwestycje publiczne poziom produkcji podniósł się nieznacznie w ostatnim roku, a zatem jak dotąd sumy jednomiliardowe nie są w stosunku rocznym wydatkiem niewspółmiernym ze stanem naszej produkcji przemysłowej. O odcinku rolniczym produkcji można powiedzieć, że rozmiary jej zdołają niewątpliwie, w miarę zainwestowania wsi, dotrzymać kroku postępowi na pozostałych odcinkach gospodarstwa.

Analogiczne stwierdzenie w odniesieniu do ogromnego potencjału pracy ludzkiej i zapotrzebowania na pracę w miarę wzrostu całokształtu produkcji — jest oczywistością. Ale tu otworzymy nawias, aby podkreślić, że polityka socjalna zrozumiana tradycyjnie jako krótkofalowa ochrona interesów pracownika, może przeciwdziałać tym możliwościom finansowania, jakie stanowią nadmiar rąk i umysłów gotowych do pracy. Ale możemy pozwolić sobie na luksus wzrostu płac bez jednoczesnego ograniczenia naszej zdolności do inwestowania. Wyrównanie płac w Polsce może i powinno zatem iść w dół tem silniej im wyższą jest płaca. Z punktu widzenia finansowania inwestycyj dochód czerpany z kapitału, czy to w formie rynkowo niewspółmiernie wysokiej płacy, czy też w formie oprocentowania — jeśli tylko obracany jest *na konsumpcję*, również (i, skoro o Polsce mowa, w stopniu znacznie silniejszym niż na odcinku pracy!) powinien być w dół wyrównany. Jak długo inwestycje mają tworzyć nowe inwestycje, wzrost spożycia jest zjawiskiem niepożądanym — z wyjątkiem wy-

[1]) Zużycie węgla obliczone na głowę mieszkańca jest np. w Holandii równo dwukrotnie wyższe niż w Polsce.

[2]) W wypadku dewaluacji ruch cen przekraczający zwyżkę uzasadnioną z tego tytułu.

padku, gdy towarzyszy mu większy co do wartości wzrost wydajności pracy. Zdaje się, że w Polsce jeszcze w ciągu najbliższego dziesiątka lat gros inwestycyj będzie pokierowany na wytwarzanie nowych inwestycyj, a wydajność pracy nie zwiększy się — pomijając niektóre środowiska — z powodu wzrostu konsumpcji — przeto zajmujące w tablicach Instytutu B. K. G. cyfry, świadczące o wzroście płac i konsumpcji, wzbudzić powinny czujność (o ile odpowiadają rzeczywistości!?). Płace realne robotników przemysłowych wynosiły średnio 143 w I połowie 1938 r. wobec 133 w ciągu 1937 r.; wzrost płac urzędników państwowych jest nieco mniejszy. Nawias zamykamy, zaznaczając, że treść jego nie świadczy o braku możliwości finansowania inwestycyj na odcinku związanym z pracą, jako czynnikiem produkcji, a jedynie wskazuje na niebezpieczeństwo polityki umniejszającej te ogromne możliwości, jakie na odcinku tym posiadamy.

Z dokonanego rzutu oka na całość naszych możliwości inwestycyjnych i — w większym stopniu — z przekonania, że dopiero *w ciągu* procesu finansowania mają ukazać się objawy świadczące o niebezpieczeństwie zwyżki cen wynika, iż westchnienia „passywistów" na temat niemożliwości znalezienia tzw. środków finansowych na realizację planu inwestycyjnego są tylko wyrazem ich poważnych kłopotów w wyborze właściwej polityki. Trudno jest istotnie poprowadzić politykę zgodną z doktryną, która identyfikuje obroty siłą nabywczą z obrotami na rynku produkcji, lub dostrzega „oszczędności", które nie są oszczędnościami, mimo, że figurują na książeczce oszczędnościowej, a nie widzi oszczędności, które są oszczędnościami, (lub pełnią ich funkcję) mimo, że nie przeszły poprzez formę pieniądza. Niektórzy — jak to odnosimy wrażenie na podstawie ostatniego numeru „Polityki Gospodarczej" — w rozterce myślowej mniemają (czy na serio?), że są tylko dwie drogi logiczne: „totalna" inflacja albo „totalna"... bierność (oczywiście bierność nie dotyczy inwestycyj dla obrony kraju).

Nam zaś się wydaje, że poza „totalną" biernością dróg jest bardzo wiele ale wszystkie one przedstawiają samodzielną doniosłość ekonomiczną tylko o tyle, o ile bądź pozwalają na wytworzenie i zużytwanie dla celów inwestycyjnych wolnej marży zdolności produkcyjnej, bądź pozwalają zdolność tę najbardziej wydajnie wykorzystać.

HENRYK GRENIEWSKI

TEORIA I PRAKTYKA

Przeciwstawianie teorii i praktyki jest błędem metodologicznym.

Terminy języka potocznego posiadają obok mniej lub więcej ustalonego sensu często i zabarwienie uczuciowe. W języku typowego inteligenta (zresztą nie tylko inteligenta (terminy *„praktyka"* i *„praktyk"* posiadają wyraźnie dodatnie zabarwienie uczuciowe, natomiast wyrazy *„teoretyk"* i *„teoria"* — ujemne. „Ja tam panie stary praktyk jestem, nie żaden teoretyk" — mówi niejeden „działacz gospodarczy" osłaniając w ten sposób skutecznie swoją niewiedzę. „Ta pańska argumentacja to przecież teoria" powiada w dyskusji ktoś mocno przyciśnięty do muru przez przeciwnika i tym popularnym zwrotem zyskuje sympatię i uznanie całości dyskutującego grona. Wśród ludzi interesujących się zagadnieniami gospodarczymi przeciwstawianie teorii praktyce jest tak rozpowszechnionym nałogiem, że wydaje się usprawiedliwione umieszczenie w czasopiśmie gospodarczym kilku skromnych uwag metodologicznych na ten temat.

Ustalmy przede wszystkim, o co właściwie chodzi? Co rozumiemy przez „teorię", „praktykę", „teoretyka" i „praktyka". Postaramy się ustalić z dokładnością dla naszych rozważań wystarczającą i zgodnie z intuicjami językowemi, jakie posiadamy, sens tych czterech terminów. Z tego nie wynika, abym zobowiązywał się do podania definicji rozważanych terminów. W ogóle z definicjami, to trzeba być trochę ostrożnym. Wcale to nie takie łatwe, jak się zwykle wydaje. Definiowanie terminów niejasnych przy pomocy terminów mętnych i to w sposób wyraźnie urągający metodologii nowoczesnej jest zastraszająco rozpowszechnioną chorobą społeczną, którą przyrównać można do alkoholizmu, a może do czegoś jeszcze gorszego.

Po tej krótkiej wycieczce na teren chorób (a może zboczeń?), wracajmy *ad rem*. Cóż to jest teoria? Każda teoria jest zbiorem zdań, *tez* werytatywnych, jeśli ktoś to woli. Z powyższego nie wynika, oczywiście, żeby każdy zbiór zdań był teorią. Tylko niektóre zbiory zdań są teoriami. Nie będziemy się starali sformułować tutaj warunku wystarczającego na to, aby zbiór zdań był teorią, było by to bowiem zbędne dla naszych skromnych celów. Moglibyśmy zadowolić się tutaj pewnym niezbyt jasnym powiedzeniem, że wszystkie zdania należące do tej samej teorii dotyczą tego samego tematu, albo jakimś wyjaśnieniem podobnym. To jednak nie jest narazie doniosłe.

Cóż to jest praktyka? Wystarczy nam znowu dość ogólnikowe wyjaśnienie, że każda praktyka jest zbiorem czynów ludzkich, z czego zresztą nie wynika, żeby każdy zbiór czynów ludzkich był praktyką. Można by jeszcze powiedzieć, że na to aby dany zbiór czynów był praktyką musi on być dostatecznie jednolity. Nie będziemy jednak precyzować, ani rozwijać naszych rozważań w tym kierunku.

Któż to taki ten pogardzany „teoretyk"? Na to pytanie trudno bardzo dać odpowiedź. Intuicje językowe w tym wypadku mamy chwiejne. W języku potocznym mówimy „teoretyk" czasem mając na myśli twórcę (czy współtwórcę) jakiejś teorii, czasami

zaś — znawcę teorii. Jedno natomiast pewne, że wyraz „teoretyk" odgrywa wśród naszej inteligencji podobną rolę, co termin „sufragan" wśród ludu wiejskiego. Ze względu na zaznaczoną poprzednio dwuznaczność nie będziemy w obrębie artykułu niniejszego używali terminu „teoretyk", zastąpimy go przez terminy „twórca teorii' i „znawca teorii", czynimy to zresztą z konieczności (dwuznaczników poza obrębem flirtu należy starannie unikać!), gdyż wprowadzone wyrażenia brzmią nadmiernie pompatycznie.

Pozostał nam jeszcze termin „praktyk". Z tym będzie mniej kłopotu. Zgodzimy się chyba na to, że praktyk, to po prostu człowiek, który znaczną ilość razy i ze znawstwem (pochodzącym choć częściowo z wprawy) wykonał czynności należące do pewnej jednolitej dziedziny, który, mniej ściśle się wyrażając, ma praktykę za sobą.

W ten sposób załatwiliśmy sprawę słownictwa. Możemy teraz zastanowić się nad stosunkiem teorii do praktyki. Zacznijmy od tego, że teorie są bardzo liczne, że dla jednego i tego samego przedmiotu badań mamy często różne teorie (np. różne teorie pieniądza), że wreszcie istnieją teorie nie tylko naukowe, ale i nienaukowe (możemy ostatnie nazwać „teoriami naiwnemi").

Jak postępuje człowiek, który świadomie i celowo działa? Stara się on osiągnąć zamierzony cel przy pomocy pewnych środków. Podczas opracowywania planu działania posługuje się on pewnemi tezami, dotyczącemi zwykle środków działania. Te tezy należą do jednej teorii, lub kilku różnych teorii. Na podstawie tych tez szacuje się skuteczność i realność środków. Teorie, w skład których wchodzą te tezy, nie muszą być teoriami naukowemi, zwykle niemi nie są. Tak czy owak, celowa działalność ludzka opiera się z reguły na teorii, tylko, że niekoniecznie teoria taka narodziła się w seminarium, czy instytucie naukowym, nieraz pochodzi ona po prostu z... magla. Bywają sytuacje, w których działanie celowe opieramy z musu na teorii naiwnej, bo teoria naukowa danej dziedziny jeszcze nie istnieje. Bywają też sytuacje, gdy opieramy się na teorii naiwnej, choć dobra teoria naukowa jest do dyspozycji, ale nie raczyliśmy jej przestudiować. Właśnie ostatnie sytuacje bywają nieraz przedmiotem zabawnej i szkodliwej dumy praktyków — „Ja tam panie nie jestem człowiek od książki, praktyczny działacz jestem, co ci teoretycy w ogóle wiedzą! Biedulek wcale nie wie o tem, że on też zna pewne teorie i co gorzej na nich praktykę swą opiera, tylko jego teorie są mętne i ubogie, czasami, zresztą w wyjątkowych wypadkach, mogą być śmiałe i płodne.

Teoria jest narzędziem pracy, jest aż narzędziem, a więc czemś czego lekceważyć nie wolno, i tylko narzędziem, a więc czemś, co z reguły może być zastąpione przez nowe, ulepszone narzędzie (nowsza, bardziej poprawna teoria).

Jeżeli idzie o narzędzia materialne, umiemy się na ogół nimi posługiwać. Mamy proste stosunkowo zadanie do wykonania — trzeba odkręcić jakąś trudno dostępną nakrętkę w samochodzie (zadanie proste, ale jak się niejeden inteligent przy takiej robocie naklnie i napoci!). Próbujemy kluczem płaskim — nie idzie! Klucz sztorcowy w ogóle „nie włazi", może „pójdzie" fajkowym? Trzeba dopasować narzędzie do zadania, które mamy przed sobą. Narzędzie nie powinno być zbyt prymitywne, ani nadmiernie skomplikowane. Tak samo jest z wyborem teorii.

Ci dumni z nieuctwa praktycy, to często postępują tak, jak jegomość, który chce „ciężko chodzącą" nakrętkę odkręcić... palcami. Tyle też pożytku z ich „praktycznej" działalności. Inna sprawa, że napuszeni erudyci, którzy przy okazji sformułowania, czy uzasadnienia elementarnej tezy popisują się zaraz znajomością ogromnego aparatu naukowego przypominają człowieka, który zamiast pchnąć lekko ręką jakiś niewielki przedmiot zaprzęga odrazu konia, albo nawet traktor.

Dobry praktyk powinien być znawcą dostatecznie bogatego „repertuaru" teoryj, tak, jak dobry mechanik powinien mieć dostatecznie bogato zaopatrzony w narzędzia warsztat. Twórca nowych teorii jest twórcą nowych narzędzi i to właśnie powinno mu zapewniać należyte miejsce w hierarchii społecznej. Naukowcy tworzą nowe narzędzia, ci z nich, którzy zajmują się nauką czystą tworzą narzędzia, które służyć mają do wytwarzania narzędzi (teoryj stosowanych), znajdujących już zastosowanie w życiu codziennym.

ROBOTY PUBLICZNE JAKO ŚRODEK POLITYKI KONIUKTURALNEJ

Rola i wpływ robót publicznych są różne w różnych fazach koniunktury. Wynika to stąd, że nie są one niczem innem, jak jednym z narzędzi polityki gospodarczej.

Niedawne zmiany kierunku polityki gospodarczej, które miały miejsce we Francji, stały się nową, jedną więcej okazją do wypowiedzenia paru cierpkich słów na temat wartości robót publicznych jako środka nakręcania koniunktury. Trudno się zgodzić, aby krytyka, wyrażona przez pewne odłamy francuskiej prasy gospodarczej i niektórych wybitnych przedstawicieli nauki (np. profesor Karol Rist), była całkowicie przekonywująca. Właściwie nie ma ona charakteru dyskusji zasadniczej tj. nie zestawia wartości gospodarczej tego środka polityki z zaletami i wadami innych środków. Cały tok rozumowania sprowadza się do stwierdzenie, że we Francji w czasie rządów Frontu Ludowego organizacji robót publicznych towarzyszyło wielkie marnotrawstwo pracy i kapitału, a nawet szereg nadużyć. — Ten pogląd może być słuszny lub nie. W każdym razie dotyczy jedynie pewnego konkretnego zastosowania tego rodzaju polityki — i to w warunkach dosyć szczególnych. Wartości bardziej ogólnej nabrałby ten przykład dopiero wówczas, kiedy by się okazało, że właśnie takie marnotrawstwo stanowi nieuchronną konsekwencję polityki robót publicznych, jest z nią niejako organicznie związane. Co najmniej zaś wypadałoby wykazać większe ich prawdopodobieństwo właśnie w tym wypadku — niż w innych. — Wówczas, naturalnie, przy analizie możliwości stosowania tej polityki należało by brać pod uwagę również ten czynnik obciążający. Narazie jednak pozostaje teza, że równie prawdopodobne jest wypaczenie planu w tych, jak i w innych okolicznościach.

* * *

Przede wszystkim jedno wyjaśnienie. Będzie mowa o robotach publicznych, a nie — ogólnie — o inwestycjach publicznych. Różnica polega na tem, że przy robotach publicznych nie jest sprawą najważniejszą, co konkretnie się wytwarza. Raczej chodzi o pewne efekty wtórne, istotne z punktu widzenia przebiegu koniunktury — o wzrost społecznej siły nabywczej, co zwykle inicjuje okres „ożywienia." Inne rodzaje inwestycji publicznych mają na celu stworzenie określonego obiektu, umożliwienie dawania społeczeństwu takich lub innych usług. Wówczas sprawa ewentualnego wzrostu zatrudnienia itp. nie stanowi w ogóle elementu decyzji inwestycyjnej, nie wchodzi wcale (lub prawie wcale) w rachubę.

Poza tem zazwyczaj przez roboty publiczne rozumie się tego rodzaju inwestycje, które wymagają małych nakładów rzeczowych i stosunkowo nikłych środków finansowych — przy jednoczesnych znacznych efektach w dziedzinie likwidacji bezrobocia. Większość kosztów robót publicznych zostaje wydana na robociznę. — To właśnie stanowi drugą istotnie charakterystyczną właściwość robót publicznych.

* * *

Przy analizie wartości danego środka polityki gospodarczej w różnych okolicznościach trzeba brać pod uwagę dwa zasadniczej wagi czynniki. Chodzi o to, jak w rozmaitych warunkach przedstawiają się: 1) możliwości stosowania tej polityki; 2) jej skutki tj. efekty wtórne.

O ile by się okazało, że nie da się pod żadnym z tych względów zaobserwować istotnej różnicy, trzeba by dać odpowiedź na dodatkowe pytanie. Skoro bowiem nie można takiej lub innej polityki stosować stale, (chociażby z powodu ograniczenia środków finansowych), konieczne jest dokonanie wyboru z nieco odmiennego punktu widzenia. Trzeba wtedy zdać sobie sprawę z tego, kiedy jest on bardziej niezbędny.

Środki na sfinansowanie robót publicznych — jak każdy kredyt na cele inwestycyjne — mogą być uzyskane głównie dwojakim sposobem: 1) przez bankową kreację kredytu, 2) przez emisję akcji przemysłowych lub pożyczki wewnętrznej, co bezpośrednio do rąk inwestora daje dyspozycję nad odpowiednią sumą środków płatniczych. — Państwo (lub inne instytucje prawa publicznego) mają znacznie większe, niejako polityczne, prerogatywy do uzyskania kredytu, a przez to mogą się stać niezwalczonym konkurentem dla prywatnego przedsiębiorcy. Wobec tego — w tym zakresie — wpływ inwestycji państwowych będzie jedynie wówczas całkowicie nieszkodliwy, kiedy podaż kredytu wyraźnie przewyższa efektowny popyt na nie.

Takie warunki panują w czasie recesji koniunkturalnej. Wówczas początkowo banki gwałtownie starają się powiększyć swoją płynność. Przez to likwidują aktywa, zamiast — jak dotąd — kontynuować ekspansję kredytową. Stopa dyskontowa jest już na wysokim poziomie, a nawet niezależnie od tego uzyskanie kredytu połączone jest jeszcze z dodatkowymi utrudnieniami. Nie tylko rozmiary akcji kredytowej spadają do minimum, ale w dodatku odbywa się na wielką skalę likwidacja należności. Ekspansja kredytowa staje się wielkością ujemną. W ten sposób po pewnym czasie gromadzą się, mniej lub więcej znaczne, sumy pieniężne, które w ogóle nie znajdują żadnego zatrudnienia. Poziom stopy dyskontowej stopnio-

wo zostaje obniżony, ale spodziewana rentowność jest coraz niższa, a przez to zapotrzebowanie na kredyt spada do minimum.

Powstają duże niewykorzystane możliwości kredytowe. Dotyczy to zarówno banków, jak i zwykłej publiczności, która tezauryzuje sumy nie wydane na konsumcję. Po prostu nie ma nadziei, aby wskutek wolnej gry sił gospodarczych mogły one zostać produktywnie zastosowane. Drenaż, dokonany przez państwo (np. w drodze rozpisania pożyczki wewnętrznej) w takich okolicznościach nie powoduje chyba żadnych ujemnych konsekwencji. Nikomu nie odbiera się kredytu, skoro dotąd pozostawał on całkowicie bezczynny.

Im dłużej trwa depresja, tem bardziej prawdopodobne jest dopasowanie się podaży kredytu do popytu nań. Stopniowo ujawnia się konieczność dokonania coraz nowych zmian w aparacie wytwórczym, a więc występuje zapotrzebowanie na kredyt. Wówczas opłaci się obniżyć jego cenę, co z kolei powiększy rozmiary popytu. Wówczas państwo istotnie może niekiedy występować w roli konkurenta dla prywatnych przedsiębiorców.

A fortiori dzieje się tak w czasie ożywienia, zwłaszcza w późnym jego okresie. Zaciągnięcie pożyczki przez państwo bezpośrednio w banku powoduje powiększenie ciasnoty na rynku pieniężnym. Powiększa się „piramida kredytowa", tworzona przez banki i oparta na niewiele zmienionych rozmiarach rezerwy. Przez to o kredyt staje się coraz trudniej i cena jego wzrasta. Analogiczne skutki wywoła rozpisanie pożyczki wewnętrznej. Oszczędności społeczeństwa, które zostałyby wydane na sfinansowanie prywatnej działalności inwestycyjnej, teraz zostaną odciągnięte na cele publiczne. W tych warunkach część inwestycji prywatnych w ogóle nie dojdzie do skutku, ponieważ okażą się one w praktyce niemożliwe do zrealizowania. Inne wprawdzie dojdą do skutku, ale ich koszty niewspółmiernie wzrosną.

*

* *

Koszty uzyskania dóbr kapitałowych, które niezbędne są do uruchomienia robót publicznych, w praktyce nie mają wielkiego znaczenia. Stąd nie jest specjalnie ważne, kiedy one zostaną poniesione. Istotna natomiast jest sprawa zupełnie inna. Chodzi o to, jak będą się w rozmaitych warunkach kształtowały koszty robocizny. W czasie recesji natężenie bezrobocia w szybkim tempie się wzmaga. Podczas okresu depresji rozmiary „rezerwowej armii pracy" stają się największe. Wówczas nawet niski poziom płac dla zatrudnionych na robotach publicznych powoduje już dość istotny i łatwo na rynku odczuwalny przyrost społecznego dochodu. Skoro poprzednio dochód rodzin, które w większości swych członków objęte były klęską bezrobocia, pozostawał na niezmiernie niskim poziomie, to nawet nieznaczny jego przyrost wywołuje poważny efekt w skali społecznej. W czasie zwyżkowej fazy koniunktury płace, zaofiarowane dla nowo-zatrudnionych, muszą się kształtować na stosunkowo wysokim poziomie. W przeciwnym razie nie uda się znaleźć chętnych, którzy by dobrowolnie przystąpili do pracy. Nie można — rzecz jasna — zakładać, że w czasie „pomyślności" „bezrobocie przymusowe" w ogóle zanika i że na rynku znajdują się jedynie ci, którym po tak niskich płacach nie warto pracować („bezrobocie dobrowolne"). Niewątpliwie w warunkach obecnej struktury gospodarczo-społecznej zawsze lub prawie zawsze znajdzie się jeszcze pewna liczba ludzi, którzy przyjęliby pracę nawet za wynagrodzeniem niższym niż obowiązuje na rynku, tylko że nie ma dla nich miejsca. W czasie ożywienia koniunkturalnego rozmiary przymusowego bezrobocia są jednak — rzecz jasna — stosunkowo nikłe, a przez to jest wysoce prawdopodobne wystąpienie na rynku zwyżkowej tendencji płac.

*

* *

—Wszystkie trzy elementy kosztów: praca, kapitał realny i kredyt kształtują się w latach dobrej koniunktury na poziomie stosunkowo wysokim. To jednak samo przez się wcale jeszcze nie przesądza odpowiedzi na postawione powyżej pytanie (tj. kiedy bardziej warto stosować politykę robót publicznych). Opłaca się przecież ponieść nawet znacznie wyższe koszty, jeśli skutek okazuje się co najmniej wprost proporcjonalnie większy. Chodzi więc teraz o zbadanie, jakie *efekty wtórne* wywołuje zastosowanie tej polityki w rozmaitych warunkach koniunkturalnych.

Szczególnie ostry przebieg ma recesja i depresja w tych krajach, które nie posiadają żadnych rezerw oszczędnościowych do dyspozycji społeczeństwa. Załamanie koniunkturalne zazwyczaj odrazu sprowadza wielki spadek stanu zatrudnienia. Przez to maleją zakupy na dobra konsumcyjne, co z kolei powoduje powstanie wielkich „zbędnych" zapasów dóbr gotowych. Rozpoczyna się kumulacyjny proces zniżkowy: przedsiębiorcy, wytwarzający dobra konsumcyjne, ograniczają rozmiary swojej produkcji i zatrudnienia, co z jednej strony obniża do minimum popyt na odpowiednie dobra wytwórcze i zmniejsza stan zatrudnienia w tych dziedzinach przemysłu, z drugiej — poprzez powiększenie bezrobocia w przemysłach konsumcyjnych — jeszcze bardziej zmniejsza rozmiary zakupów na tym rynku. Takie są ogólne właściwości każdego kryzysu gospodarczego — przynajmniej w pierwszej jego fazie tj. do momentu, kiedy wytworzy się stabilizacja na niskim poziomie i zostanie osiągnięte t. zw. dno kryzysu.

Staje się zupełnie zrozumiałe, że przesilenie będzie tem mniej groźne, im mniej — już w czasie załamania koniunkturalnego — zostanie ograniczony popyt na dobra konsumcyjne. Stąd też przeciwkryzysowa polityka większości państw (a wszystkich tych, którym stosunkowo szybko udało się obronną ręką wyjść z okresu przesilenia) polegała na powiększeniu siły nabywczej szerokich mas społeczeństwa. Kraje t. zw. zamożne mogą liczyć na to, że stopniowo będą „zjadane" oszczędności, pochodzące z poprzednich okresów. Przez to wydatki na dobra konsumcyjne nie ulegną raptownemu ograniczeniu.

W innej sytuacji znajdują się — rzecz jasna —

kraje, gdzie dochody ludności pracującej pozostają na stosunkowo niskim poziomie. Tam skonsumowanie starych oszczędności będzie miało nikłe skutki z powodu bardzo małych ich rozmiarów. Konieczne staje się zastosowanie określonych środków zaradczych nie tylko ze względu na konieczność prowadzenia opieki społecznej, ale też — w równym stopniu — z pobudek czysto ekonomicznych.

Przedstawiciele t. zw. sfer gospodarczych dotychczas nie mogą tego zrozumieć. Mówią, że dźwignią ożywienia gospodarczego będzie podniesienie rentowności przedsiębiorstwa. Rozumowanie przedstawia się w sposób następujący: należy obniżyć koszty produkcji (w praktyce chodzi naturalnie o płace robocze), przez co poprawia się perspektywy zyku, przedsiębiorcy powiększą rozmiary produkcji, powstaną inwestycje itd. Szkoda, że obrońcy takiej tezy (a znaleźć ich nie trudno) nigdy nie próbowali zastanowić się nad tem, czy przedsiębiorca, którego koszty produkcji maleją, a przychód nie ulega zmianie, będzie chciał powiększyć produkcję, a tem bardziej — zainwestować się. Wzrost produkcji (a fortiori — akcja inwestycyjna) wtedy się opłaca, kiedy spodziewany jest wzrost popytu na towary, a nie wtedy, kiedy popyt pozostaje bez zmian przy jednoczesnej poprawie stosunku przychodu do kosztów. Wówczas jedynie wzrasta stopa zysku, ale zupełnie zrozumieć nie można, w jakim celu opłacałoby się w takich warunkach przeprowadzenie zakupów inwestycyjnych. Skoro mowa o warunkach depresji koniunkturalnej, to nie sposób liczyć na to, aby przedsiębiorcy zdecydowali się na inwestycje wskutek dopiero przewidywanego (a nie już zrealizowanego) wzrostu popytu na towary.

Obniżka poziomu płac nie tylko nie daje nadziei na przyszły wzrost popytu na dobra konsumcyjne, ale właśnie przeciwnie zapowiada dalsze zmniejszenie rozmiarów tych zakupów. Dlatego też przyniesie ona korzyść wyłącznie producentom dóbr wytwórczych w postaci podwyższonej stopy zysków. Trudno to nazwać korzyścią dla społeczeństwa.

Często państwo prowadzi politykę podtrzymywania siły nabywczej szerokich mas nie z pobudek ekonomicznych, a jedynie społecznych. Po prostu nie można pozwolić na to, aby setki tysięcy ludzi umierało z głodu. Tem się tłumaczy udzielanie zasiłków dla bezrobotnych. Jasne, że pozostają one na poziomie bardzo niskim: „za dużo jest, aby umrzeć, za mało, by żyć”. Trudno też spodziewać się, aby takie zasiłki kiedykolwiek miały się wznieść na wyższy poziom. Istnieją przecież z pobudek natury społecznej. Skoro ten wzgląd jest tu rozstrzygający, nie można ich dawać w takiej wysokości, aby nie odczuwało się różnicy w sytuacji materialnej pracującego i bezrobotnego. Wówczas bowiem najważniejszym skutkiem pomocy dla bezrobotnych będzie zniechęcanie ich samych i wszystkich dokoła do podjęcia teraz czy w przyszłości jakiejkolwiek pracy. Doświadczenia ostatnich lat wykazały, że nawet przy udzielaniu głodowych zasiłków nie każdemu chce się przenieść na wyższą stopę życiową, jeśli to ma być połączone z pewnym wysiłkiem. Jeśli jednak istnieje obawa, że na tej drodze stworzy się nowa klasa „rentierów”, to stąd wcale nie wynika, aby najkorzystniejszym wyjściem miała być całkowita likwidacja wszelkiej pomocy finansowej ze strony państwa. Tak rozumować można było jedynie w pierwszej połowie ubiegłego stulecia — pod wpływem modnych wówczas teorii Malthusa.

Wniosek musi być odwrotny. Skoro w społeczeństwie w czasie kryzysu istnieje wielka ilość bezrobotnych kapitałów, to uruchomienie nawet kosztownych robót publicznych, najprawdopodobniej nie zniechęci żadnego przedsiębiorcy, który ma akurat dokonać pewnych nakładów i poszukuje kredytu. Skutków ujemnych nie da się więc zaobserwować, natomiast efekty dodatnie są dość wyraźne. Skoro płace nowozatrudnionych będą przewyższały zasiłki, które poprzednio ci sami ludzie otrzymywali jako bezrobotni, to wzrośnie suma dochodu, którym dysponują. Dotychczas ich konsumcja była nieledwie głodowa, jest więc jasne, że cały przyrost ich siły nabywczej zostanie obrócony na zakupy dóbr konsumcyjnych. Dopiero w tych warunkach opłaca się powiększyć produkcję, co prędzej czy później skłoni przedsiębiorców do dokonania pewnych inwestycji, a to z kolei powoduje na ogół wzrost zatrudnienia w produkcji dóbr wytwórczych. Nie jest zagadnieniem centralnym, czy cały ten przebieg zjawisk nastąpi w bardzo szybkim tempie, czy też będzie trwał czas jakiś. Szczegółowe rozważania na ten temat na tym miejscu nie są możliwe. Istotne jest samo stwierdzenie *kierunku* zmian w układzie gospodarczym, jakie zostały wywołane przez roboty publiczne [1]).

*

* *

Stosowanie polityki robót publicznych w okresie ożywienia nasuwa dość duże wątpliwości. W ten sposób zapobiega się wprawdzie zbyt bujnemu rozkwitowi dobrej koniunktury, co zazwyczaj połączone jest ze specjalnie wielkiemi trudnościami likwidacyjnemi w okresie recesji (zbyt duże zbędne zapasy dóbr — przeważnie produkcyjnych). Jednocześnie jednak intensywna działalność przedsiębiorcza ze strony państwa lub samorządu może w tych warunkach „spłoszyć” dobrą koniunkturę. Przypominam, że cały czas mówię tu o robotach publicznych, a nie ogólnie o inwestycjach publicznych. To rozróżnienie pod tym względem jest istotne. Jeśli ex definitione prowadzenie robót publicznych wymaga stosunkowo niewielu dóbr produkcyjnych, to nie ma nadziei, aby ich rozkwit miał z tego punktu widzenia być czynnikiem istotnym. Inne inwestycje publiczne wymagają na

---

[1]) Nieco inaczej np. będzie w krajach, gdzie popyt na produkty rolne jest dość elastyczny tj. tam, gdzie ludność „nie dojada”. Wówczas wzrost społecznej siły nabywczej może jedynie częściowo (w stosunku do towarów przemysłowych) wywołać powiększenie produkcji. Różnica nie jest jednak specjalnie istotna. Nastąpi bowiem wzrost siły nabywczej wsi, co — wobec bardzo niskich dochodów rolnictwa — prawdopodobnie nie ulegnie tezauryzacji, tylko zostanie wydane na artykuły przemysłowe. Być może, w tych warunkach ożywienie będzie się rozwijało z pewnym opóźnieniem, ale jest to chyba jedyna różnica z punktu widzenia przebiegu koniunkturalnego.

ogół dużych nakładów rzeczowych, co ma duże znaczenie z punktu widzenia trwałości dobrej koniunktury. Dobra produkcyjne zużywają się bowiem stosunkowo powoli, a wskutek tego w odpowiednich gałęziach przemysłu zaczną powstawać zbędne zapasy, co może inicjować ogólną tendencję zniżkową. Otóż roboty publiczne powstaniu takiej tendencji z pewnością nie będą mogły zapobiec.

Roboty publiczne w okresie ożywienia mogą — rzecz jasna — mieć taki sam chrakter jak i w innych fazach cyklu koniunkturalnego. Jest zupełnie zrozumiałe, że wówczas łatwiej jest sfinansować ich przeprowadzenie i poświęcić na ten cel większe sumy. W tych warunkach można bardziej wydatnie „pchnąć" przebudowę strukturalną kraju np. budowę dróg, mostów itp.

Powstają natomiast pewne wątpliwości, czy równie owocna okaże się tego rodzaju działalność z punktu widzenia dalszego przebiegu koniunktury. Chodzi o to, że zaczyna się przez to rozwijać pewna nierównomierność. Z jednej strony następuje dalszy wzrost społecznej siły nabywczej, tem bardziej, że prawdopodobne jest wystąpienie zwyżkowej tendencji płac. Przez to powiększają się zakupy dóbr konsumcyjnych, a skoro ożywienie trwa już od pewnego czasu, wątpliwe jest, aby sprowadzały się one do popytu na produkty rolne.

Najprawdopodobniej lwia ich część sprowadzi się do towarów przemysłowych — dość prymitywnych i nie wymagających skomplikowanych metod produkcji.

Jednocześnie zaś okazuje się, że popyt na dobra produkcyjne wzrósł — wskutek uruchomienia robót publicznych — całkiem nieznacznie. Prowadzenie innego rodzaju inwestycji publicznych lub dalszy rozwój przedsiębiorczości prywatnej połączony byłby z większymi zakupami na rynku dóbr wytwórczych. Natomiast stosowanie polityki robót publicznych nie spowoduje tego, aby na wyższych stadiach produkcji miało wzrosnąć ztrudnienie, co wyraziłoby się w pochodnym wzroście popytu na dobra konsumcyjne. Jest nawet możliwe, że powiększy się tam — przynajmniej w pewnych dziedzinach — bezrobocie. W ten posób już odrazu zostaną zniwelowane pozytywne skutki, jakie na rynku dóbr konsumcyjnych wywołało zapoczątkowanie robót publicznych. Można by wprawdzie przypuszczać, że ten początkowy wzrost popytu na dobra konsumcyjne „powinien" odrazu spowodować powstanie nowych inwestycji. Jest to jednak mało prawdopodobne. Aparat wytwórczy w przemysłach konsumcyjnych już przed tem został rozbudowany, a stąd nie ma powodu przypuszczać, aby odrazu potrzebne okazały się nowe inwestycje.

Ostatecznie więc jest zupełnie możliwe, że inauguracja robót publicznych wywoła pogorszenie koniunktury w produkji dóbr wytwórczych, co prędzej czy później odbije się na sytuacji przemysłów konsumcyjnych. Mało za tem przemawia, aby polityka robót publicznych nawet w sensie bezwzględnym miała w czasie ożywienia koniunkturalnego przynieść jakieś większe korzyści. Ważniejsze jednak, że *w porównaniu* z innemi możliwościami wydatkowania określonych sum na inwestycje („inne" publiczne lub prywatne) reprezentuje ona wartości dość nikłe i niepewne.

Najważniejszym jednak argumentem, przemawiającym przeciwko stosowania polityki robót publicznych w czasie dobrej koniunktury, jest obawa, że w czasie kryzysu, gdy jej potrzeba okaże się specjalnie nagląca, państwo (lub samorząd) będzie miało znacznie mniejsze możliwości w tym zkresie. Drenaż rynku pieniężnego w postaci np. rozpisania pożyczki wewnętrznej niewątpliwie zmniejszył możliwości finansowe społeczeństwa, a przez to w okresie późniejszym dalsze próby finansowania na tej drodze jakichkolwiek inwestycji będą musiały dać odpowiednio mniejsze rezultaty. Jest bowiem nieprawdopodobne, aby do chwili rozpoczęcia kryzysu tego rodzaju zadłużenie mogło zostać spłacone. Trzeba zresztą wziąć jeszcze pod uwagę, jak tego rodzaju „seria" wpłynie na psychiczne nastawienie społeczeństwa. Taki problem nie istnieje — rzecz jasna — dla państwa całkowicie stosującego metody przymusu. Wówczas wszelkie problemy natury pieniężno-kredytowej stają się znacznie mniej istotne z punktu widzenia trudności podtrzymywania dobrej koniunktury. Punkt ciężkości zostaje przeniesiony na kształtowanie się sytuacji na rynku towarowym (np. zagadnienia surowcowe itp.

Środki stosowane przez politykę koniunkturalną — jak wszelkie środki polityczne — nie stanowią uniwersalnego panaceum, właściwego zawsze i we wszelkich okolicznościach. Z reguły sprowadzają się one do tak czy inaczej pomyślanej redystrybucji dochodu społecznego. W rozmaitych okolicznościach raz może się okazać najbardziej korzystne powiększenie popytu na dobra bezpośredniego spożycia, innym razem chodzić będzie o podtrzymanie słabnącego ożywienia w produkcji dóbr wytwórczych. Ten sens ma polityka koniunkturalna i tylko z tego punktu widzenia można wartościować poszczególne jej przejawy.

UWAGI

PROGRAM—PROGRAMOWOŚĆ

We wstępnym artykule noworocznego numeru Gospodarka Narodowa zwróciła uwagę na to, że, jeżeli polityka gospodarcza Rządu „jako polityka chwili, polityka dnia dzisiejszego" „jest niewątpliwie popularna", stanowiąc „linię kompromisu pomiędzy rozbieżnemi tendencjami i interesami, obraną zgodnie z istniejącą równowagą sił", to natomiast w odniesieniu do polityki na dłuższą metę bynajmniej nie mamy żadnego kompromisu, lecz treuga Dei, czasowe zawieszenie broni wynikające stąd, iż nie ma jeszcze programu na dłuższą metę „dostatecznie niespornego, dostatecznie konkretnego".

Sądzę, że konstatacja ta jest słuszna i doniosła. A ponieważ w przededniu być może burzy na skalę światową i w obliczu gorączkowych wysiłków gospodarczych i politycznych otaczającego świata nikt nie może sobie pozwolić na trwanie przez okres dłuższy w zawieszeniu broni, trzeba powiedzieć jasno, że nie wykręcimy się sianem doraźnych sukcesów i odcinkowych posunięć, lecz będziemy musieli rozstrzygnąć kwestię programu na dłuższą metę. Zanim się pewien problem rozstrzygnie, trzeba go postawić. I to jest pierwsze, najbliższe zadanie. Zanim się je postawi w całości, trzeba wyjaśnić, uwypuklić jego człony składowe. I to jest zadanie wstępne, które już może być, a zatem *powinno* być podjęte.

Zwolennicy gospodarki planowej widzą program w postaci wieloletniego planu czasowego, obejmującego całość polityki życia gospodarczego, oraz ujmującego poszczególne dziedziny w cyfrowe wskaźniki. Liberałowie pragnęliby uporządkować całość problemów gospodarczych przez możliwie konsekwentne zrealizowanie zasady swobody działania gospodarczego.

Mimo zasadniczych różnic w myśleniu, obydwa te podejścia posiadają dwie wspólne cechy. Pierwsza — dążenie do ogarnięcia całości problemów gospodarczych, programem, drugą — pragnienie utrzymania jednolitych zasad w całości programu.

Postawa taka znajduje pełną sympatię opinii. W sukurs przychodzą jej wszystkie zdawkowe powiedzonka, typu „dość połowiczności". W sukurs przychodzi zniecierpliwienie i odwieczna i trwała mimo wszystkie rozczarowania wiara ludzka w możność znalezienia prawdy obiektywnej i w skuteczność działań, o znajomość tej prawdy opartych. Ale postawa taka przenosi zagadnienie programu gospodarczego Polski w regiony tak wysokie, że gołe oko realisty dostrzega już tylko ślepą uliczkę dyskusji doktrynalnej.

Jednolity i wszech ogarniający program gospodarczy jest mitem. Mitem równie dobrze w liberalnej Anglii, jak w kraju piatiletek. Trzeźwy umysł Anglosasów godzi się doskonale z tem, że w zakresie polityki obrotu zagranicznego Anglia jest w zasadzie wolnohandlowa, w praktyce zaś, na niektórych odcinkach awansuje się bardzo daleko w kierunku protekcjonistycznym lub preferencyjnym. Umysłowości rosyjskiej, w której splotły się wrodzone tendencje doktrynerskie z doktrynerstwem komunizmu, trudniej było pogodzić się z niejednolitością programu — przez dłuższy okres dążono do regulowania całokształtu procesów gospodarczych. W późniejszym jednak okresie narosły wyraźne przeciwieństwa wewnętrzne, z którymi się pogodzono, tolerując w różnych formach nieplanowe kształtowanie się cen, a nawet godząc się z istnieniem, w wąskim coprawda bardzo zakresie, grupy gospodarstw rolnych nieskolektywizowanych.

W warunkach polskich napewno nie jest osiągalny wysoki stopień jednolitości w programowym rozwiązaniu zasadniczych zagadnień. Z niskiego poziomu naszej stopy życiowej musi się wyprowadzić dwa przeciwstawne wnioski. Nie możemy rezygnować z podniesienia tej stopy w stosunku do niektórych grup ludności, a równocześnie złudą byłoby mniemać, że wybrniemy z tego zagadnienia inaczej, jak poświęcając w skali generalnej teraźniejszość dla przyszłości, a więc hamując wzrost stopy życiowej na rzecz rozszerzenia w przyszłości procesów produkcyjnych, przesuwając podział dochodu społecznego od konsumcji bieżącej do inwestycji. Przeludnienie wsi skłania równocześnie do działań na rzecz zwiększenia udziału wsi w dochodzie społecznym i jednocześnie jest motywem dla forsowania procesu uprzemysłowienia w imię wchłonięcia nadwyżki ludnościowej wsi, a przecież w okresie ograniczeń w międzynarodowym obrocie kapitałowym rozbudowa przemysłu jest zawsze synonimem pewnego haraczu rolnictwa. Nasze opóźnienie w rozwoju gospodarczym i wynikające stąd dysharmonie w strukturze wewnętrznej sprawiają, że dla produkcji rolniczej i w ogóle produkcji surowcowej eksport jest koniecznością (a przecież kto chce eksportować musi importować, a więc prowadzić mniej lub więcej wolnohandlową politykę), równocześnie zaś w dzisiejszych warunkach handlu międzynarodowego, przy współczesnych metodach dumpingu nie sposób wyobrazić sobie doganiania przez krajową produkcję krajów bardziej zaawansowanych inaczej, jak w warunkach pewnego protekcjonizmu.

Im bardziej działania programowe na dłuższą metę opierać się muszą w warunkach polskich o kompromis przeciwstawnych nieraz zasad, tem trudniej mówić o szybkim stworzeniu programu, ogarniającego całokształt zagadnień. Przy opowiedzeniu się za jakimś jednym, bardzo wyraźnym kierunkiem działania, budowa programu sprowadza się do rzeczy względnie łatwiejszej, choć jeszcze nie łatwej. Do dedukcyjnego rozwinięcia przyjętych założeń i wprowadzenia pewnych korektyw odcinkowych. Natomiast tego rodzaju program, z jakim mieć możemy do czynienia w praktyce polskiej, narastać może tylko stopniowo, poprzez harmonizowanie, poprzez rewizję coraz szerszego kręgu zagadnień na tle bardzo tylko ogólnikowych założeń podstawowych.

Sprowadzenie kwestii programu gospodarczego na ziemię, na grunt realny, jest jedyną możliwą drogą przyśpieszenia procesu wytwarzania programu gospodarczego polski na długą metę. Może ktoś powie-

dzieć, że tak pojmowany program nie jest już programem. To tylko kwestia terminologii. Być może, iż słuszne byłoby wyrażenie, iż nie chodzi właściwie o opracowanie programu, lecz o większą programowość podejmowanych działań.

Za punkt wyjścia procesu wypracowywania programu na dłuższą metę nie możemy więc uznać przyjęcia jakiejś syntetycznej koncepcji, którą wystarczy rozpracować w szczegółach, by posiadać pełny rozkład jazdy. Przeciwnie, sądzimy, że drogą właściwą i jedyną możliwą jest start z polityki bieżącej i podnoszenie wymagań, stawianych tej polityce odnośnie szerokości horyzontu i łagodzenie, czy usuwanie sprzeczności poszczególnych działań.

Czy tylko działań, które narzuca sytuacja bieżąca? Jak sądzę, tu właśnie, tym pytaniem dochodzimy do sedna rzeczy na dzień dzisiejszy.

Nacisk sytuacji sprawia, że pewne odcinki naszej polityki, a więc np. odcinek dewizowy i odcinek handlu zagranicznego są przedmiotem niemal ustawicznej rewizji pojęć i rewizji politylki. Istnieje natomiast cały szereg dziedzin, w których próby rewizji są rzadkością, albo też nie ma ich wcale. Traktujemy pewien układ, wytworzony przed laty kilku lub kilkunastu, jako stan zastany, nie tak doraźnie bolesny, by śpieszyć się z jego zmianami. Katastrofa na bliską metę nie grozi przecież, jeśli np. system podatkowy, lub system ubezpieczeń społecznych, obowiązujący w Polsce trwać będą jeszcze lat kilka, jak trwają już kilka czy kilkanaście. Można by powiedzieć, że ograniczamy się do rewizjonizmu pod przymusem sytuacji.

Rozszerzenie skali tego rewizjonizmu, podejście do zagadnień, które nie muszą być doraźnie rewidowane, które jednak zostały uregulowane na podstawie, nie wytrzymującej już dziś krytyki, to pierwsze, najbliższe zadanie na drodze do programowości w polityce gospodarczej Polski.

c. k.

ZAMACH NA CUDZE PODWÓRKO

W „Kurjerze Polskim", którego ogólny poziom redakcyjny podniósł się w ostatnim półroczu w takim stopniu, że mamy obecnie do czynienia poprostu z innym pismem — śmiało można powiedzieć najlepiej chyba redagowanym ze wszystkich pism polskich, nadal pojawiają się wprost skandaliczne ze względu na swą niewybredną demagogię artykuły, dotyczące koniunkturalnej polityki rolniczej. Wtajemniczeni mówią, że do działu tego pisują wyłącznie przedstawiciele młynarstwa, wysoce niezadowoleni ze zmniejszonej ponoć w tym roku marży przemiałowej w związku z wprowadzonemi opłatami od mąki i kaszy i że tu trzeba szukać wyjaśnienia demagogii wymienionych artykułów. Nie wiemy, czy wtajemniczeni mają rację, chociaż specjalna wrażliwość artykułów „Kurjera Polskiego", dotyczących koniunkturalnej polityki rolniczej, na zagadnienie opłat przemiałowych i podporządkowanie hasłu zniesienia tych opłat ustosunkowania się do wszystkich innych zagadnień koniunkturalnej polityki rolniczej, wskazywałoby na to, że rzeczywiście młynarze coś zanadto majstrują w „Kurjerze Polskim". Tak czy inaczej — w każdym razie pozostaje dla nas niezrozumiałe, jak może tolerować taką niewybredną demagogię w jakichkolwiek artykułach „Kurjera Polskiego" obecna jego redakcja, demagogię rzucającą się w oczy każdemu nawet laikowi.

Dla przykładu zanalizujmy artykuł z dn. 10 stycznia b. r. „„Oszczędności" czy fundusz interwencyjny", odpowiadając na szereg zawartych w nim demagogicznych chwytów argumentami, zaczerpniętymi z artykułu umieszczonego w zeszycie 1. „Przeglądu Gospodarczego" z b. r., a więc organu, który w redakcji „Kuriera Polskiego" może chyba liczyć na pewne względy poważania.

1) „Kurier Polski": „Premiowanie wywozu wzgl. uprawianie zakupów interwencyjnych rzeczywiście stosowane jest w nader skromnych granicach". Pewnie, że prawie 70% ad valorem — to stawka pomocy wywozowej, jak na Polskę nie najwyższa, ale naprawdę chyba znowu nie „nader skromna". Ileż procent miałaby ona wynosić, aby uchronić się przed zarzutem skromności?

„Przegląd Gospodarczy": „Stosowaną dziś u nas politykę cen zbożowych należy uważać za celową i skuteczną" — „nie widzimy konkretnej możliwości podjęcia na szerszą skalę dalej idącej interwencji" (na rynku zbożowym).

2) „Kurier Polski": „Jeżeli chodzi o artykuły pochodzenia zwierzęcego, to ceny ich nie stoją bynajmniej na poziomie, który by kompensował straty na zbożu".

„Przegląd Gospodarczy": „W sytuacji, która się obecnie wytworzyła, straty w dochodzie ze zbóż będą mogły być pokryte w znacznym stopniu wzrostem dochodu ze zwiększonej sprzedaży artykułów hodowlanych".

3) „Kurier Polski": „zboże jest wciąż podstawowym artykułem produkcyjnym gospodarstwa tak większego, jak mniejszego".

„Przegląd Gospodarczy": „Udział w ogólnym rolniczym dochodzie pieniężnym w zakresie zbóż wynosi przeciętnie w Polsce: dla małych gospodarstw ok. 20% (w Wielkopolsce ok. 34%), dla większych w Wielkopolsce tylko 32,5%, a w pozostałych częściach kraju na ogół znacznie więcej; w zakresie natomiast wytwórczości zwierzęcej dla małych gospodarstw ok. 50% (w Wielkopolsce 53,5%), dla większych w Wielkopolsce 25%. Jak widzimy, poglądy ujęte w artykule „Przeglądu Gospodarczego" daleko odbiegają od tez „Kuriera Polskiego", tak daleko, jak muszą zawsze odbiegać poglądy słusznie przedstawiające rzeczywistość od poglądów demagogicznych. Jeżeli tezy pełne demagogii i nawet insynuacji spotykamy w „Czasie", mówimy sobie: trudno. Ci już są tacy, taka ich natura i przeznaczenie, niech im będzie na zdrowie. Ale niedbała demagogia na łamach „Kuriera Polskiego" przykro nas doprawdy razi.

I dlatego — jako pilni czytelnicy tego pisma — pozwalamy sobie zgłosić pod adresem redakcji „Kuriera Polskiego" dezyderat: Czy Pan Eustachy Rylski

nie jest predystynowany na objęcie redakcji działu rolniczego w „Kurierze Polskim"?

*

* *

Pan Eustachy Rylski jest bowiem autorem artykułu w „Przeglądzie Gospodarczym" o „Sytuacji gospodarczej rolnictwa w roku gosp. 1938/39". Z artykułu tego pochodzą wszystkie podane przez nas wyżej cytaty. Ponieważ artykuł ten — jak już podkreśliliśmy — opiera się na rzeczowej i słusznej analizie obecnej rzeczywistości rolniczej w Polsce, można podyskutować z autorem o rzeczach poważnych. W końcowych wnioskach p. E. Rylski stwierdza bowiem, że „przy tym (obecnym poziomie cen (rolniczych), zwłaszcza zbożowych, nie może być mowy o opłacalności naszej wytwórczości rolnej... Tylko bowiem na tej podstawie rolnictwo polskie będzie mogło wyjść ze stanu wegetacji, w którym się od szeregu lat znajduje, i zacząć spełniać tę rolę, do jakiej jest powołane".

Jeżeliby autor dodał po słowach „wytwórczości rolnej" — „warsztatów opartych o pracę najemną" i zamiast „rolnictwo polskie" użył słów „warsztaty rolnicze oparte o pracę najemną", to nie byłoby wówczas między nami poważniejszych różnic.

Skłonni bowiem jesteśmy uważać, jak czyni to widocznie i p. Rylski, że konkretnie nie może być mowy o poważniejszym zmniejszeniu się kosztów produkcyjnych rolnictwa opartego o pracę najemną i że w związku z tem zamiast mówić — metodycznie słuszniej — o dzisiejszej relacji kosztów produkcyjnych do cen rolniczych, można dla uproszczenia mówić poprostu o poziomie cen rolniczych.

Skoro jednak wnioski p. Rylskiego brzmią inaczej, niż to zostało wyżej sformułowane, zakładamy przeciwko nim veto w tym przeświadczeniu, że nie jest wykluczone, iż obecny poziom cen, zwłaszcza zbożowych, utrzyma się przez czas dłuższy, a mimo to istnieć będą podstawy umożliwiające rozwój warsztatów rolnych opartych o własną pracę rolnika, tak jak — horribile dictu — warsztaty te rozwinęły się w ostatnim ośmioleciu pomimo kryzysu.

Ważnym bowiem dla tych warsztatów jest ogólny ich przychód gotówkowy i zmiany w nim będą — przy jednakowych kosztach produkcyjnych — decydowały o rozwoju lub cofaniu się warsztatów opartych o własną pracę rolnika, chociażby nie był spełniony warunek „opłacalności" produkcji rolniczej.

Dla większych natomiast warsztatów rolnych warunek ten jest na dłuższy okres czasu bezwzględnie konieczny a dzisiaj—przyznajemy—w Polsce nie spełniony, zwłaszcza, jeżeli mówić o całości warsztatów rolnych, opartych o pracę najemną i uwzględnić średni koszt, ponoszony przez nie w związku z obsługą długów, zaciągniętych w odmiennym okresie gospodarczym. Dlaczego bowiem kapitał umieszczony w rolnictwie dla celów zysku, a nie dla zapewnienia sobie tylko stałej pracy (mały warsztat rolny i odstępne za posadę dozorcy domowego w Warszawie) ma się nie rentować? Czem ma być gorszy od kapitałów umieszczonych w innych warsztatach gospodarczych?

Inna tylko sprawa, czy zwłaszcza w stosunku do kapitału, jaki reprezentowały majątki ziemskie w latach 1927 — 1929, osiągnięcie ich rentowności jest w ogóle do osiągnięcia i czy nie jest ona jedynie możliwa dla nieobdłużonych majątków *nabytych już według dzisiejszych cen ziemi*. Uważamy, że *optymistycznie* rzecz ujmując, można się spodziewać na lata najbliższe osiągnięcia rentowności jedynie przez te ostatnie majątki, wszystkie inne są — naszym zdaniem — skazane na nieuchronną zagładę.

Mówiąc bowiem słowami p. Rylskiego, trzeba zdawać sobie sprawę, iż „pozostaje faktem, że na odcinku zwłaszcza zbożowym, posiadając zupełnie odmienne warunki wytwórcze, zależni jesteśmy stale od czynników tak dla nas obcych i odległych jak koszty wytwórczości pszenicy w Stanach Zjednoczonych Ameryki, Kanadzie czy Argentynie, a z drugiej strony tak zmiennych jak urodzaj w tych krajach... Spadek światowych cen zbóż jest w kampanii bieżącej bardzo poważny i nie jest to prawdopodobnie zjawisko przejściowe, gdyż tegoroczne zapasy będą ciążyły na rynku światowym dłuższy czas".

Te dwa zdania łącznie — to — naszym zdaniem — gwóźdź do trumny dla naszej wielkiej własności obdłużonej i skłonnej kalkulować swą rentowność wciąż w stosunku do wartości ziemi z lat 1927—29. Trzeba to wreszcie należycie zrozumieć. I albo się z tem—jak my to czynimy — pogodzić albo, uważając, że wielkie warsztaty rolne są dla gospodarstwa polskiego czynnikiem niezbędnym i jasno stawiając w ten sposób sprawę, żądać nadzwyczajnych *skutecznych* środków ratowania *tych właśnie warsztatów*. Rzecz prosta, nie drogą zmierzającą do oderwania się naszych cen zbożowych w dowolnie wysokim stopniu od cen światowych, nie ulega bowiem dla nas wątpliwości, że istnieje i to stosunkowo niewysoka granica tej „oderwalności" ze względu na konieczność naszego wywozu hodowlanego i potrzebę zapewnienia mu tem samem dostatecznej konkurencyjności na rynkach odbiorczych. Tymczasem hodowla nasza oparta nawet o tanią chłopską pracę, ale skazana na za drogi surowiec, nie podoła konkurencyjności hodowli nawet krajów o znacznie wyższym standardzie życia.

Zresztą co tu gadać. Obecne nasze ceny żyta są oderwane już prawie o 40% od cen światowych i właśnie p. Rylski słusznie pisze: „nie widzimy konkretnej możliwości podjęcia na szerszą skalę dalej idącej interwencji". Jeżeli zaś tak, to zamiast nierealnych kazań o opłacalności, trzeba na gwałt, wychodząc z dzisiejszych cen rolniczych, dążyć za wszelką cenę do podniesienia przychodu gotówkowego tych warsztatów rolnych, które zwiększają prężność swojej produkcji *bez opłacalności*. Niech nikt nie sądzi przypadkiem, iż uważamy za plus dla gospodarki chłopa polskiego, że gospodaruje on bez opłacalności. Bynajmniej. Przeciwnie uważamy, że dopóki ta opłacalność nie będzie przywrócona, w obciążeniach rolnictwa powinien być stale brany pod uwagę ten stan rzeczy.

Nie widzimy bowiem racji, dlaczego majątek narodowy znajdujący się w rękach chłopskich nie miałby zasadniczo rentować, skoro rentuje się — i to czasami jak jeszcze — inny majątek. Chodzi nam o co

innego. O to, że warsztat będzie się rozwijał — jak się już rozwija — nawet bez opłacalności, bo dla tego warsztatu decydującym bodźcem do pracy jest nie iluzoryczna dla jego posiadacza rentowność, lecz dążenie do powiększenia przychodu gotówkowego; przy tym samym poziomie cen rolniczych i kosztów produkcyjnych dążenie do powiększenia ilości zbywanych artykułów bez względu na nakład niezbędnej pracy. Taka jest twarda prawda naszej rzeczywistości. Zapewnienie rynku zbytu dla rosnącej produkcji rolniczej staje się w tym świetle znacznie ważniejszym i pilniejszym zadaniem, niż sztuczne poprzez premie *śrubowanie* a nie obrona cen krajowych. Przede wszystkim chodzi o to, aby produkcja mogła rosnąć, a ceny nie spadały. Jeżeli premiować, to premiować niżej ale szerzej, sięgając po wciąż nowe rynki i pobudzając w ten sposób wciąż nowe gałęzie produkcji rolniczej lub dając szerszy oddech już istniejącym.

Oto zagadnienia, o których pilną analizę prosimy p. Eustachego Rylskiego. Realną i rzeczową, jak to jest w jego zwyczaju. A że jest — jak widać — jeszcze znaczny rozdźwięk między sformułowaniem p. Rylskiego a naszym, to tylko chyba jeden więcej argument dla redakcji „Kuriera Polskiego" za spełnieniem naszego dezyderatu. Stawiamy tylko propozycję pozyskania człowieka, z którym będzie nam miło się zetrzeć. Miło, bo bez potrzeby prostowania przekręconych faktów, bez potrzeby tłumaczenia rzeczy podstawowych. Wyśledzić błąd logiczny (na przykład przyjęcie pars pro toto, co jest przecież ozdobą stylu) oto silna pokusa dla publicysty. Doznać słusznego wytknięcia takiego błędu to znów zaostrza uwagę i podnieca myśl. Niechże „Kurier Polski" odwdzięczy się nam jako pilnym jego czytelnikom.

Stefan Zawadzki.

NOTATKI

PODNIEŚĆ CŁA!

Na wstępie deklaruję się, jako zdecydowany przeciwnik ceł na niewytwarzane w kraju surowce konsumcyjne. Nie jestem stuprocentowym liberałem. Jednakże sądzę, że nie wolno uciekać się do ochrony celnej bez poważnej racji gospodarczej. Żadne zaś racje gospodarcze nie przemawiają oczywiście za tem, aby chronić przy pomocy ceł produkcję, której... nie ma i być nie może, a więc np. kawę, lub herbatę. Mogłyby być racje fiskalne. Te jednak nie są wystarczającym argumentem, przynajmniej wtedy, kiedy chodzi o artykuły względnie szeroko konsumowane; nie mówiąc już o takich surowcach konsumcyjnych, jak powszechnie konsumowana bawełna. Zarówno gospodarczy, jak społeczny punkt widzenia sprzeciwiają się w zasadzie obciążeniu celnemu surowców konsumcyjnych, o których wyżej mowa.

W zasadzie, tzn. in abstracto. W praktyce, to znaczy w konkretnych polskich warunkach, zarówno racje gospodarcze, jak społeczne domagają się dziś wprowadzenia tych ceł, których piszący te słowa jest przeciwnikiem.

Bezcłowy, czy niskocłowy przywóz omawianych artykułów jest źródłem nieuzasadnionych i przypadkowych przywilejów i czynnikiem dotkliwych perturbacji gospodarczych. Chodzi o problem tak zwanej renty kontyngentowej. Przez dłuższy czas nie martwiono się o ten problem, traktując ograniczenia ilościowe przywozu jako zjawisko przejściowe. Za roczek, dwa, zakazy przywozu się zniesie, po cóż więc troskać się o to, że w warunkach ograniczonej przez kontyngenty przywozowe podaży ceny, uzyskiwane przez importera, silnie wzrastają, stwarzając dlań rentę kontyngentową, pomimo tego, że skrępowany kierunkami i okresami zakupu importer przepłaca za granicą.

Potem próbowano rentę kontyngentową zdyskontować, lub ją pomniejszyć. W pewnym okresie liczono na tranzakcje wiązane, stanowiące nota bene najgorszą formę pomocy wywozowej. Kiedy indziej na regulowanie cen wewnętrznych, kiedy indziej na opłaty celowe. Wszystko razem nie doprowadziło do rozwiązania problemu, renty kontyngentowe są nadal faktem. Na pewno istnieją dziś jakieś nowe projekty zdyskontowania czy pomniejszenia tych rent. Na pewno system, o jakim się dziś myśli, jest lepszy od systemu dawnego. Niestety, również na pewno żaden system nie rozwiąże całości problemu, a nawet pokaźnej jego części. Raz nie będzie można znaleźć, z czem dany import wiązać w wywozie. Drugi raz nie będzie komu powierzyć wiązania. Kiedy indziej okaże się, że opłaty celowej nałożyć nie można ze względu na zobowiązania międzynarodowe. Słowem, albo zabraknie podstaw gospodarczych, albo prawnych, i połowiczność obecna będzie trwała dalej.

A może nie martwić się o ten problem? Może pogodzić się z faktem istnienia renty kontyngentowej? Nie sądzę, aby można było lekko przejść do porządku dziennego nad źródłem dochodowym, które może dać Skarbowi Państwa kilka, jeśli nie kilkanaście milionów złotych rocznie, bez jakiegokolwiek uszczerbku dla poziomu cen w Polsce, w drodze obciążenia wyłącznie jednostek przypadkowo uprzywilejowanych. Nie sądzę również, aby można było zlekceważyć ujemny wpływ rent kontyngentowych na rozwój aparatu handlowego. Tak, jak zła moneta wypiera dobrą, tak samo uprzywilejowany, podkarmiony rentą kontyngentową kupiec bije w walce konkurencyjnej kupca, pragnącego i umiejącego pracować bez przywilejów.

Oczywiście, może ktoś powiedzieć i dziś jeszcze, że ostra reglamentacja importu surowców konsumcyjnych jest zjawiskiem przejściowym. No, ale w to chyba już nie wielu ludzi uwierzy.

a. u.

UMÓWMY SIĘ

Pod adresem handlu prywatnego wypisano w Polsce tak wiele i przeważnie słusznych zarzutów, iż nie pozostawiono na nim suchej nitki. Ma on zbyt wiele grzechów na sumieniu, zwłaszcza w stosunku do producentów rolnych, ażeby można było przejść do porządku dziennego nad metodami, jakich używa handel prywatny, dążący do osiągnięcia maksymalnego zysku.

Tem ciekawsze jest uchwycenie różnicy w metodzie pracy pomiędzy omawianym handlem prywatnym a handlem, który do zysku jakoby nie dąży, t. j. spółdzielczością. Ta ostatnia powołana została do życia właśnie w celu usunięcia chwytów i sposobów, stosowanych przez kupców. Jeżeli kupiec np. uprawia spekulację, grając na zwyżkę, przetrzymując towar i t. p. — spółdzielnia pragnie stale i niezmiennie zaspokajać potrzeby bez względu na finansowe konsekwencje. Drobny kupiec albo poprostu pośrednik stara się jak najmniej ryzykować, woli handel łańcuszkowy, gdzie ryzyko rozkłada się na większą ilość uczestników obrotu — spółdzielnia myśli jedynie o tem, żeby równomiernie rozkładać swoją podaż i mieć towar zawsze pod ręką.

A jak to jest w rzeczywistości? Odpowiedź znajdujemy w prasie spółdzielczej. Oto nr. 20 „Poradnika Spółdzielni" z r. b. Czytamy tam (z okazji stwierdzonego faktu nieobecności spółdzielni rolniczo-handlowych w dostawach zboża na eksport i dla rezerwy zbożowej), że kupcy prywatni mają to zboże z tej prostej przyczyny, iż „zasobni w kapitał, w poprzednim okresie mogli skupować zboże na magazyn". Tymczasem „spółdzielnie prowadzą obrót bezpośredni i unikają magazynowania".

Jak dotąd, wszystko w porządku. Spółdzielnie są niezamożne i nie chcą przetrzymywać zboża, odstępując je czemprędzej, małemi partiami następnym ogniwom handlu. Czy jest to jednak metoda właściwa? I oto ku naszemu zdumieniu oficjalny organ odpowiada potakująco: „Uznać to należy za zasadę przezorną i koniecznie muszą się do niej stosować wszystkie organizacje, które chcą zachować zdolność przystosowania się do zmian koniunktury".

Podane usprawiedliwienie jest jednak niczem innem, jak zachętą do stosowania drobno-kupieckiej metody pośredniczenia, podczas gdy handel połączony jest z braniem na siebie ciężaru ryzyka, związanego z tak ważną gospodarczo funkcją, jaką jest magazynowanie towaru. Jedną z głównych bolączek naszego handlu zbożem jest to, iż nie posiada on magazynów i nie dąży do ich posiadania, a zakupując i sprzedając małe partie zboża, nie jest w stanie ani regulować cen, ani wykorzystać dla siebie zdrowej i naturalnej zwyżki, wynikającej z upływu czasu od żniw do przednówka.

Handel, który nie bierze na siebie ryzyka, nie jest handlem, tylko urzędem. Handel, który nie chce świadomie pracować na magazyn czyli przechowywać towaru w czasie, nie jest handlem, tylko zbędnym pośrednictwem. Nie spełnia on funkcyj aprowizacyjnych, nie tworzy racjonalnych zasobów i nie ma ambicji kierowania rynkiem. Jest to dzisiaj cechą lwiej części naszego prywatnego aparatu wymiany i stanowi prawdziwy powód do zmartwienia państwowej polityki gospodarczej. Aparat spółdzielczy, jak się okazuje, nie jest lepszy i, co ciekawsze, nie powinien być lepszy. Tak przynajmniej poucza nas prasa spółdzielcza.

Prywatny handel ziemiopłodami uchodzi za źródło spekulacji i wielkich zysków kosztem, rzecz prosta, producenta rolnego. Badania, jakie w tej mierze przeprowadzono w ramach Międzysamorządowej Komisji Handlu Wewnętrznego, nie potwierdzają podanej tezy, niemniej jest ona integralną częścią pretensyj prasy spółdzielczej pod adresem handlu prywatnego. Z chwilą jednak, gdy w grę wchodzi handlowy interes spółdzielni rolniczych, okazuje się, iż jest odwrotnie. Oto bowiem w nr. 1 tegorocznego „Poradnika Spółdzielni" w artykule zwalczającym akcję spółdzielni spożywczych na wsi, czytamy, iż „nie może istnieć tego rodzaju stan rzeczy, przy którym jedne spółdzielnie miałyby zajmować się wyłącznie [1]) rentowną sprzedażą towarów, potrzebnych do konsumcji osobistej i do prowadzenia gospodarstw i przedsiębiorstw, a drugie miałyby zajmować się z reguły *nierentownym* i *ryzykownym* skupem produktów i towarów, dostarczanych przez drobnych wytwórców wsi i miast".

Musimy się umówić, jak naprawdę i na serio mamy traktować handel. Bo jeżeli skup ziemiopłodów jest nierentowny, to dlaczego kupcy prywatni rzekomo na nim się bogacą? A jeżeli oni się bogacą, to dlaczego spółdzielnie rolnicze nie mogą związać końca z końcem? Skoro skup ziemiopłodów jest rzekomo nierentowny, to po co spółdzielnie uprawiają filantropię? Czy czasami przyczyna tak różnej oceny sytuacji nie leży gdzie indziej?

Poprzednio cytowany nr. 20 „Poradnika" udziela wyczerpującej w tym względzie odpowiedzi. „Kupiec prywatny, gdy wyczuwa, że ma okazję korzystnego zbytu, nie czeka na towar, lecz sam go szuka... Spółdzielnie w większości wypadków przyjmują bierną pozycję w obrocie ziemiopłodami. Skupują wtedy, gdy rolnicy do nich przywiozą". I dalej następują rady, sprowadzające się w gruncie rzeczy do pilnowania przez spółdzielnie dogodnych dla nich warunków skupu. All right: dogodnych dla spółdzielni jako kupca. Za to samo handlowi prywatnemu urąga się na całego.

A teraz moment owego ryzyka. Czy można sobie wyobrazić handel bez ryzyka? Wydaje się, że nie. Im niższa forma wymiany, tem mniejsze ryzyko. To jedno, a drugie: za ryzyko się płaci, t. zn. do ceny otrzymanej wlicza się albo od ceny zakupu się odejmuje odpowiednią w danych warunkach „premię za ryzyko". Spółdzielczość, która ma pretensję do kupców prywatnych za wysokie koszty pośrednictwa, chciałaby jednocześnie i usunąć to ryzyko, i nie pobierać za nie żadnego odszkodowania, i samej nie angażować się w operacjach ryzykownych, czyli w ogóle w operacjach handlowych.

Handel prywatny a spekulacja to w przekonaniu

[1]) Niezgodne z rzeczywistością (vide sprawozdania Związku „Społem").

opinii publicznej jedno i to samo. Nie zaprzeczamy, że handel lubi pospekulować. Ale kto tego nie lubi? Może rolnik? Bynajmniej. Wystarczy zajrzeć do wspomnianych badań Międzysamorządowej Komisji, aby się przekonać, jak to producenci rolni świadomie wstrzymują się z podażą, żeby wykorzystać koniunkturę i uzyskać ceny maksymalne, uzasadnione i nieuzasadnione. O takim spekulacyjnym wstrzymywaniu się rolników z podażą donosi również „Życie Rolnicze", organ samorządu rolniczego. W nr. 2 z r. b. znajdujemy ciekawą informację o spekulacyjnej taktyce producentów owoców.

To, co robią rolnicy i ich spółdzielnie, odbiega jaskrawo od pewnego ideologicznego schematu, opartego o potępienie metod, stosowanych przez handel prywatny. Ale schemat swoje, a życie swoje. „Trzebno żyć" — jak mówią kupcy, których się zwalcza... wyganianiem diabła Belzebubem. No i w praktyce nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nikomu nie czynimy z tego powodu wymówek. Umówmy się jedynie, co mamy zwalczać, a co chwalić — pod warunkiem naturalnie, że nie będziemy patrzyli na podmioty, lecz na ważniejsze w danym wypadku przedmioty. Możemy się nawet umówić, że cel uświęca środki. Usprawiedliwimy wówczas politykę spółdzielni zakupu żywca, które na spędach dyktują rolnikom ceny monopolistyczne, a zysk stąd płynący mają zamiar przeznaczyć na rozbudowę urządzeń, służących zdrowemu obrotowi i na dywidendę dla członków. Tak czy inaczej, trzeba przyjąć jakiś jednolity punkt widzenia i stale się go trzymać. Unikniemy w ten sposób szkodliwego zakłamania.

K. Brodnicki.

CIEKAWE ZESTAWIENIE

Pilne wczytanie się w „Statystykę przemysłu węglowego w Państwie Polskim" doprowadza do niejednego cennego wniosku. Szczególnie interesujące jest odpowiednie zestawienie podanych w tym tomie tabliczek, ono bowiem dopiero prowadzi do należytego oświetlenia położenia przemysłu węglowego w Polsce.

W notatce niniejszej chcemy się podzielić z czytelnikami jednym z takich właśnie zestawień [1]).

Przeglądając samą tylko kolumnę drugą, można by dojść z łatwością do przekonania, że ze względu na poziom zarobków górniczych w Polsce obciążenie robocizną tony węgla jest w Polsce stosunkowo wysokie w porównaniu z innymi krajami, ponieważ z łatwością można nie zdawać sobie dostatecznie sprawy z wysokości różnic wydajności pracy górnika u nas i gdzieindziej.

Tymczasem — jak się okazuje z kolumny trzeciej — nawet koszt robocizny na niemieckim Górnym Śląsku jest wyższy od naszego prawie o 40%. To zaś decyduje o tem, że chociaż cena wewnętrzna tony węgla u nas jest najniższa (loco kopalnia), to jednak udział robocizny w tej cenie jest b. niski: niższy, niż na niemieckim Górnym Śląsku o 2%, niż w Zagłębiu Ruhry o 10%, nie mówiąc już o tem, że niższy od Anglii o 24% ceny węgla. Jedynie w porównaniu z Zagłębiem Karwińskim udział robocizny jest u nas wyższy, podkreślić jednak trzeba, że ze względu na specyficzne warunki eksportu koksu z Zagłębia Karwińskiego (brak dostępu do morza, obce a nie własne taryfy kolejowe) cena wewnętrzna węgla w Czechosłowacji kształtowała się w roku 1937 r. wyjątkowo wysoko, wyżej o przeszło 11 zł od Anglii. I tylko tem należy sobie tłumaczyć, dlaczego udział robocizny w cenie węgla był w Czechosłowacji tak niski.

Reasumując, należy stwierdzić, że tylko dzięki wyjątkowo wysokiej wydajności pracy górnika polskiego przemysł węglowy pomimo braku dewaluacji złotego jest obciążony robocizną na tonę w stopniu niższym, niż na świecie. Po potrąceniu robocizny każda tonna węgla sprzedana loco kopalnia na rynek wewnętrzny dawała w roku 1937 w Polsce 16,42 zł, gdy w Wielkiej Brytanii 14,32 zł, a w Niemczech niewiele więcej, niż 20 zł. Ze względu jednak na znacznie wyższy poziom cen artykułów przemysłowych w Niemczech, niż u nas, nie ulega wątpliwości, że inne koszta wydobycia pochłaniały prawie całą różnicę między 20 zł a 16,42 zł. A zresztą polityka płac robotniczych i polityka cen Niemiec hitlerowskich nie może być chyba ze względu na swoje skutki — obniżenie realnej wartości płac — zachęcającym dla nas przykładem.

x. y.

[1]) Udział kosztów robocizny w cenie węgla niesortowanego loco kopalnia na rynku wewnętrznym europejskich państw węglowych (1937 r.).

	Przeciętne wydobycie węgla na robotnikodniówkę w kg.	Zarobki na robotnikodniówkę w zł.	Koszt robocizny na tonę w zł.	Cena tony węgla w zł.	% udziału kosztów robocizny
Wielka Brytania	1186	14.28	12.04	26.36	45.7
Zagłębie Ruhry	1626	15.35	9.44	29.84	31.6
Niemiecki Górny Śląsk	1930	12.30	6.37	26.86	23.7
Polski Górny Śląsk	2031	9.32	4.58	21.00	21.8
Francja	833	9.00	10.80	27.28	39.6
Belgia	778	8.25	10.60	30.75	34.5
Czechosłowacja (Zagłębie Karwińskie)	1447	9.68	6.69	37.81	17.7

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.